NUMER 13. DNIA 8. KWIETNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Lwów przed stu laty.

I. Wały hetmańskie w r. 1807.

W pracowni bibljoteki im. Baworowskich we Lwowie wisi pięć rysunków akwarelowych, przedstawiających widoki lwowskie z samego początku wieku dziewiętnastego. Są one dla dziejów kultury lwowskiej materjałem nieocenionym, nie tyle zresztą dla swej artystycznej wartości, ile głównie dlatego, że odtwarzają życie lwowskie z pedantyczno-biurokratyczną dokładnością.

Dzięki uprzejmości obecnego dyrektora bibljoteki Baworowskich p. Edmunda Naganowskiego oraz łaskawie nam przez urzędnika tejże bibljoteki p. dr. Stanisława Kaczor Batowskiego udzielonym, fachowym a cennym informacjom, możemy podać czytelnikom „Tygodnia“ reprodukcje tych ciekawych obrazków, oraz powiedzieć coś o nich samych.

Na pięciu kartach przedstawił autor w kolorowych akwarelach wały hetmańskie w r. 1807, wnętrze teatru lwowskiego w r. 1805, redutę na salach t. z. kasyna Hoechta w r. 1805, sztuczny ogień w ogrodzie jezuickim w r. 1806 i scenę z kontraktów lwowskich w r. 1806. Według zapisków ś. p. Aleksandra Batowskiego, założyciela — rzec można — bibljoteki Baworowskich, osoby na tych akwarelach przedstawione, są portretami ludzi współczesnych,



WAŁY HETMAŃSKIE W R. 1807.

Ze zbiorów bibljoteki im. Baworowskich.

a rysował je niejaki Gerstenberger z komendy generalnej. Nie ulega wątpliwości, że będzie to Franciszek Ksawery Gerstenberger, o którym szematyzmy galicyjskie z początku XIX. w. podają, że piastował wówczas urząd kontrolora kasy wojennej przy „*Militär Oberkommando in Lemberg*“, a mieszkał przy ulicy nowej (dziś Sobieskiego).

Kontrola kasy wojennej austrjackiej, świecącej okropną pustką w czasie wojen napoleońskich, nie dawała snać Gerstenbergerowi zbyt wiele czynności, wobec tego czas wolny poświęcił malarstwu, które uprawiał z daleko większą sumiennością, aniżeli talentem. Rysunkom jego brak niejednokrotnie najprymitywniejszych zasad techniki, ale za to z niesłychaną dokładnością kopjował najdrobniejsze nawet szczegóły architektoniczne, na mundurach malowanych przez siebie osób nie opuścił ani jednego guzika, a stąd wnosić można, że i portrety figur ze współczesnego świata są wierne. Kwestją zbadania, kim by mogły być przedstawione przez Gerstenbergera osoby, zajmuje się p. dr. Batowski szczegółowo i być może, że drogą żmudnych badań, w których lubuje się ten doskonały znawca ikonografji historycznej, uda mu się stwierdzić autentyczność rysów nie jednej historycznej osobistości z początków XIX. stulecia.

Obrazek pierwszy, którego reprodukcję podajemy w dzisiejszym numerze „Tygodnia“, przedstawia wały hetmańskie w r. 1807, zaludnione barwną publicznością w strojach z początku ubiegłego wieku.

Był to czas, kiedy wały hetmańskie, utworzone niedawno z dawnych fortyfikacji miejskich, zażywały sławy pierwszorzędnego we Lwowie miejsca spacerowego i stanowiły „*Hauptpromenade*“ w całem tego słowa znaczeniu.

Za polskich czasów przedstawiały one zgoła inny widok. Wzdłuż kamienic przy dzisiejszej ulicy Hetmańskiej biegł mur obronny miejski, najeżony w tem miejscu sześciu basztami. Na placu Marjackim, w miejscu, gdzie dziś mniej więcej kawiarnia „Monopol“ stała baszta złotników, nieco dalej baszta rzeźników, trzecia baszta stolarzów, czwarta Korniaktowska, której obronę miał sobie powierzoną cech kowali, ślusarzy i iglarzy, dalej w miejscu jak dziś wejście do dyrekcji skarbowej od pl. Św. Ducha, stała furta jezuicka, przez którą po długim zwodzonym moście prowadziła droga ulicą Jezuicką (dziś Jagiellońska) na folwark Jezuitów, dalej baszta kramarzów i baszta piekarzy, rozebrana w r. 1836, gdy miano stawiać teatr skarbkowski.

Ulica Hetmańska stanowiła w systemie fortyfikacyjnym dawnego Lwowa głęboki rów wodą napełniony, za którym biegł wysoki wał, wzdłuż niego Pełtew i wreszcie mur zewnętrzny z bastjonami.

Rząd austrjacki, począwszy od r. 1777 począł znosić w tem miejscu fortyfikacje, tworząc z nich promenadę. O tej zmianie a zarazem o samej genezie wałów hetmańskich daje wyobrażenie następujący szereg biurokratycznych nakazów i rozporządzeń, które zawiera jedna z ksiąg (60) archiwum miejskiego:

W r. 1788 wydał magistrat urzędowi budowniczemu nakaz posunięcia robót około zniesienia wałów miejskich, nakaz sadzenia drzew i ustawienia ławek, oraz zakaz paszenia bydła na wałach.

W następnym roku magistrat zastanawiał się, co zrobić z furtką jezuicką i na razie kazał ją tylko rozszerzyć, a równocześnie komisja rządowa zaprowadziła nadzór, aby nie uszkadzano plantacji na wałach.

Rok 1791 zaznaczył się w historji wałów hetmańskich tem, że magistrat kazał furtę jezuicką odtąd nazywać „*Theresienthor*“, a równocześnie zamianowano niejakiego Geistlera ogrodnikiem miejskim.

W r. 1794 gubernium nakazało skrapianie wałów w dnie gorące, a w następnym roku magistrat zakazał mieszkańcom zanieczyszczać plantacje wałowe.

W r. 1796 magistrat z wyższego polecenia zakazał jeździć konno lub wozem po wałach, w następnym zaś roku za pozwoleniem gubernialnem sprowadził magistrat ławki kamienne z Polany, a gubernator nakazał czyścić wały miejskie ze śmieci codziennie.

Szereg tych „aktów prawnych“ zamyka niemniej długi szereg kar, nakładanych zwłaszcza na żydów, którzy paśli kozy swoje na wałach.

Rycina nasza przedstawia część wałów od kościoła Jezuitów do dzisiejszego Muzeum przemysłowego. Kościół Jezuitów widnieje tu jeszcze z wieżą, rozebraną dopiero w r. 1830. dyrekcja skarbu w dzisiejszej postaci, za nią tył nieistniejącego już dziś kościoła Franciszkanów, który w tym czasie służył za teatr, w dali widnieją kończyny dawnego zamku niskiego.

I same wały przedstawiały się wówczas zgoła inaczej, aniżeli dziś. Był to przedewszystkiem prawdziwy jeszcze wał, nasyp o znacznej wysokości, sięgający jak widać na rycinie prawie aż do wysokości górnych krańców okien parterowych dyrekcji skarbu, a więc o parę metrów ponad poziom ulicy Hetmańskiej, utworzonej z rumowiska i wypełnionej ziemią pozostałą ze splantowania samego wału.

Chcący zażyć przechadzki musieli wchodzić na wały po schodkach.

Ponadto tuż przy jezuickich gmachach była przerwa w wale, przez którą prowadziła droga do furty jezuickiej. Przerwa ta górą połączona była mostem drewnianym.

Tak, jak i wały, inną też była publiczność, która je zaludniała. Panowie w kolorowych frakach i jedwabnych pończochach, panie w greckich tunikach, lekkich przepaskach na głowie zamiast kapeluszy i bez parasolek — jednem słowem moda pierwszego cesarstwa panowała na miejscu dzisiejszej czarnej giełdy. Sama zresztą tylko elegancka publiczność przechadzała się po wałach wówczas i bawiła się w tych smutnych czasach zapamiętale, flirtując we „włoskich kioskach lemoniadowych, gdzie można dostać wszelkiego rodzaju lodów, jak gdyby w środku Wiednia“ jak powiada jeden z obcych podróżników, który zwiedzał Lwów w tym czasie.

Fr. Jaworski.

JÓZEF JEDLICZ.

MATKA.

Przyszliśmy do niej w chwili, kiedy w oknach płonęły zorze wieczorne i małe zielonkawe szyby patrzały w mroczną izdebkę, jak przesmutne źrenice, płaczące krwawemi łzami. Przyszliśmy i stanęliśmy niemi w tej mrocznej purpurze.

Przywitała nas cicho, jak trwożna gołębica, co lęka się spłoszyć motyla białem skrzydłem — nie, och nie! — przywitała nas w śmiertelnej, dygocącej trwodze, w oszalałej trwodze istoty bezsilnej, mrącej w bezlitosnych mrokach, a pragnącej żyć choćby za cenę okrutnego mamidła... Z niepewnych wieści domyślała się już wszystkiego.

Byliśmy niemi i niewzruszeni i zatamowane były nasze serca. — — Towarzysze wysłali nas, abyśmy uwiadomili ją, biedną, ubogą staruszkę o śmierci jej syna, jej ukochanego jedynaka, jedynej pociechy w starości. — — Nas wysłali, nas, najsilniejszych z całego mnogiego tłumu, nas właśnie, którzyśmy mieli piersi, jak groźne łomy stali, a serca twarde, jak młoty, którzyśmy śmiechem szyderskim odpowiadali wyjącemu upiorowi zniszczenia i śmierci... Nasze usta składały się jeno do twardej, jak chrzęst oręża, pieśni bojowej, do wielkiej, potężnej, jak szum morza wezbranego, pieśni wolności. — —

I stanęliśmy dumni i niemi. — Zatamowane były nasze piersi i nie znały litości nasze serca.

I zaraz spostrzegliśmy w jej małych, skurczonych, obrzmiałych oczkach — oczkach samolubnych w swem macierzyństwie i pokornych, jak u psiny wylękłej, nieśmiałe, łyskające, jak szkliwo stłuczonego naczynia, upiory pytań. — —

Wyciągnęła do nas starcze, cienkie dłonie, pełne niebieskich żyłek, osędziałe żółtością i brudem nędzy — maleńkie, zdziecinniałe dłonie, nabrzmiałe przeklętą wymową, jak gdyby gotowe wykrzyknąć ostrym, przenikliwym wrzaskiem rozpaczy. Wyciągnęła do nas te dłonie jak do zbawców. — —

— Panowie a... a... mój syn!? — jąkała się, składając ręce. I moglibyśmy przysiądz, że wymówiły to jej ręce, a nie usta. Słyszeliśmy szum poduszek, w których tuliła swe chore, szeleszczące członki, tak trzęsła się na całem ciele!... W jękliwem, dygocącem łkaniu ten wyraz „syn“, ten syczący wyraz, przeciął śmiertelną ciszę i odbił się o nasze piersi, jak syk węża rozjuszonego...

Miała była bowiem syna. Poszedł z nami młody, okrutny dzieciak! — Z niepohamowaną, wyniosłą tęsknicą za świtem i wolnością wyrwał się z jej starczych objęć i poszedł z licem archanioła — Ach, jak cudnie płomieniały mu skronie w olśniewających blaskach Wschodu! Jak dumnie szedł zuchwalec na niebezpieczeństwa, przed któremi drżeli osiwiali bojownicy, na ciemne widma i zasadzki, najeżone paszczami żmij! — Jak hucznie grała w nim młoda, czerwona krew, gdy szedł wśród tryumfu naszej pieśni bojowej! — Ha — z jak wspaniałą pogardą zdusił wszystko, co kwiliło w jego dziecinnem sercu, i szedł na spotkanie naszej prawowitej, tryumfalnej, zwycięskiej Matki, której poprzysięgliśmy nieugiętą wierność, — — bladej Śmierci... Wszystkie jutrznie płonęły w jego pysznem, młodzieńczem spojrzeniu. — —

I oto leżał teraz bez ruchu, z kulą ugrzęzłą w krwawej, strzaskanej skroni, na dnie błotnistego dołu, w mrocznej głuszy, wśród trupów żołdactwa — — leżał tam z zakrzepłym tryumfem śmiechu i wzgardy na bladych wargach... I grały mu nad grobem dźwięki surm bojowych — i huczał nad nim nieogarniony hymn tryumfu, któremu Wolność na imię. — —

A ona w tej chwili podniosła się na poduszkach, wyciągnęła do nas swoje śmieszne, maleńkie dłonie i pokornie, głosem zduszonym przez łzy,

pytała się o syna... A my staliśmy niemi i chmurni i zatamowane były nasze serca. — —

I głosikiem cichym i szepleniącym, jak u szczenięcia, zaczęła nas błagać i załamywać rączki i opowiadać, — głupia, biedna starowina — jak go rodziła w boleściach — opowiadała o jego dziecińshwie — o kołysce i pieluszkach, o jego pieszczotach dziecięcych i swoich matczynych — śmieszna, zdziecinniała staruszeczka! — — o jego rączkach i nóżkach, o jego lekkomyślności i jego nieposłuszeństwie — — Nie dała nam przyjść do słowa. Bredziła aż do nieprzytomności — w pomieszaniu rozumu bredziła o wszystkiem, co nasunęły jej bezmyślne skojarzenia osłabłych władz chorego mózgu. Truchlała i odchodziła od przytomności. — —

A my staliśmy ponuro, z pochylonemi głowami i zatamowane były nasze serca. A dłonie nasze obwisły ciężko, jak uśpione gromy i oczy nasze kryły się pod powieką, jak przygasłe pioruny — A w uszach naszych grały surmy bojowe i dźwięki tryumfalne... Staliśmy w niemem milczeniu, wiedząc, że najlżejsze nasze słowo runie młotem na jej dziecinne serce. — — A ona wyciągała wciąż dłonie i błagała i opowiadała o wszystkiem i zaklinała na wszystkie świętości, na krew Chrystusa, na Matkę Przenajświętszą, na nasze własne rodzone matki... Rozwodziła się nad swoją niedolą, nad swoim bólem, nad swoją straszną trwogą. — — Błagała z drżeniem istoty, chcącej żyć za cenę tchu ostatniego, — dowodziła, że ona, niby matka, żyje tylko jego życiem, oddycha tylko jego tchnieniem, myśli tylko jego myślą — że ustawicznie rodzi go niejako w boleściach — że oczekuje go w niewysłownej tęsknicy, jakby nanowo miał się jej narodzić — — Że skona w swojej straszliwej samotności i sieroctwie, jeśli — jeśli on nie wróci — — I wiele rzeczy mówiła nam biedna, chora, obłąkana staruszka, podczas kiedy nam grały jeszcze w uszach surmy bojowe, podczas kiedy dyszeliśmy jeszcze tryumfem, a w oczach naszych łyskały purpurową łuną te wielkie, płomienne bóle, którym na imię miliony...

Wreszcie osunęła się z posłania i ruchem szybkim, jak spłoszona kotka, nim ktoś zdołał się spostrzedz — ona, nawpół umarła staruszka — runęła na podłogę i obejmowała nas za kolana i trzęsła się i chciała całować nam nogi. Brudne, ciężkie, leniwe łzy, jak krople złego deszczu, posypały się z jej opuchłych, nabrzmiałych oczek i lały się rzewnie na nasze dłonie. —

I wówczas, jak głazy rozsadzone lawą podziemną, poruszyliśmy się... I każdy z nas, jakby rażony gromem, uczuł, jak z ciemnych głębokości łona, niby dymny płomień, wyrywa się jakiś duszny, palący żywioł i przedziera się przez gardło krwawy, jakby nagle wytargany z wnętrzności... Dławiliśmy się własnym oddechem! I ręce nasze omdlały, jak bezduszne wióry i zadrżały bezsilnie — I po raz pierwszy ugięliśmy się pod ciężarem naszych piersi... Przekleństwo — czemuż nie zginęliśmy razem z „nim!“ — — Trzymając nadludzką mocą ducha suche powieki, podnieśliśmy ją z ziemi i ułożyli, jak dziecinę — i gładziliśmy osłabłemi dłońmi jej włosy siwe i niememi, gorącemi usty całowaliśmy jej zwiędłe starcze członki, straszliwą potęgą woli trzymając na wodzy łzy przeklęte — Nie mogliśmy przecież płakać!...

Aż wreszcie jeden z nas nadludzkim wysiłkiem zaczął jej szeptać do ucha, że syn jej żyje — — dowodził kłamliwie i przysięgał, że zdrów, że opuścił szeregi nasze przed bojem — (och, inaczej nie uwierzyłaby śmieszna, uparta staruszka!) — zaczął szeptać szyderczo, w gwałtownych słowach, które jakoby z trudnością przeciskały się przez jarzmo jego wzgardy dla zdrajcy, — że zacny dzieciuch żyje bezpiecznie za kordonem, że w dziecinnej żałości swojej pisał do nas, błagając, byśmy przywieźli doń jego starą, poczciwą, najdroższą mamusię, — — że wróci niebawem i nie opuści jej już nigdy, nigdy... Wyjął stary, pomięty list, który ona podniosła zaraz do zalanych łzami, oślepłych źrenic i wytrzeszczała swoje drgające oczki i płakała, że nie może przeczytać...

Tak to kłamaliśmy nikczemnie nędznicy. — —

A ona, wśród łez, poczęła śmiać się drżącym, niebacznym, histerycznym śmiechem radości, samolubne, zwiędłe jej piersi chwiały się, drgając, jak kawały szmaty wstrząsanej wichrem — Skomliła z radości, dziękowała nam imionami naszych matek, śmiała się w bezmiernem szczęściu, nazywała nas najszlachetniejszymi na świecie ludźmi i skonała na naszych rękach.

I radość jej nie raziła naszych uszu.

I siedzieliśmy przez całą noc przy jej biednych, dziecinnych zwłokach, ryczące dzikim płaczem. Ryczeliśmy ze wzgardy do samych siebie i z jakiegoś żalu okrutnego, niewymownego... Wszystkie tamy zdeptanych uczuć przerwały się w nas, jak zbuntowane źródliska rzek wiosennych. Wszystkie niedorzeczne wspomnienia dziecięctwa wydarły się z ciemnych kryjówek naszych piersi, jak niesforna, skowycząca, straszliwa sfora piesków szalejących, jadowicie kąsając nasze zbolałe, krwią ociekające trze-

wia — — Do samego świtu płakaliśmy wszyscy bez wyjątku, jak męczeńskie, bolesne jutrznie...

I teraz, po tej nocy okrutnej, widzimy, że niegodną była nasza dumna wzgarda. I po wylaniu tych łez ciężkich wiemy, że nasze nikczemne kłamstwo było prawdą Chrystusową. — —

Jasło 1906.

Teren bitwy racławickiej.

Zdać dokładnie sprawę z przebiegu bitwy racławickiej jest rzeczą nadzwyczaj trudną, raz, że nie mamy żadnego autentycznego planu tej bitwy, a powtóre, że w późniejszych już po odniesionem zwycięstwie, czy to raportach, czy sprawozdaniach, czy wspomnieniach pamiętnikarskich, nie wszystkie szczegóły występują równie dokładnie.

To też niemało miał trudu znakomity biograf Kościuszki, p. Korzon, z oddaniem wszystkich momentów akcji racławickiej. Wiele pomógł mu dostarczony przez Stykę, a rysowany nieznaną ręką jedyny plan tej bitwy, znajdujący się obecnie w wiedeńskiem archiwum wojennem. Na podstawie to tego planu, geometrycznych map dóbr Dziemierzyce i Janowiczki, a wreszcie osobistych oględzin nakreślił p. Korzon plan do swego dzieła. Lecz w ostatnich czasach wystąpił przeciw niektórym szczegółom tego opisu artysta malarz p. Wawrzeniecki, w szkicu drukowanym w „Przewodniku nauk. liter.“ t. XXXIII z. IV r. 1905 p. t.: „Dlaczego, gdzie i jak bitwa 4-go kwietnia 1794 musiała być stoczoną“, a nadto pierwej jeszcze napisanym, bo w r. 1901, a mającym więcej charakteru polemicznego z dzieła p. Korzona, szkicu, dotąd w rękopisie zostającym w zbiorze w Ossolineum pod l. 4425, zatytułowanym: „Materjały do bitwy racławickiej“.

Opiera on się w swych dowodzeniach nie tak, jak p. Korzon, na porównaniu terenu z odnośnemi relacjami biorących udział w tej bitwie, lecz głównie na dokładnem zbadaniu terenu i trochę na ustnej tradycji najstarszych mieszkańców tych miejscowości, a nie bierze pod uwagę urzędowych, choć niecałkiem dokładnych relacji, co zdaniem naszem stanowi słabszą stronę jego dociekań, — wynagrodzaną chyba wyborną znajomością miejsca — ponieważ sam w pobliżu przemieszkiwał i częste robił w te strony wycieczki .

Z góry musimy się zastrzedz, że nie kusimy się o rozwiązanie tego sporu, który roztrzygnąć może tylko autopsja.

Trzymając się zasady, że tam, gdzie stoczono potyczkę, wznoszą się potem mogiły, bo nikomu by się nie chciało wznosić ich bez wyraźnego celu dalej, p. Wawrzeniecki przeglądał w tym względzie dokładnie całe pobojowisko i oto, co spostrzegł? Przedewszystkiem autor nie widział tych dwu, z pięciu mogił na planie p. Korzona, które p. K. umieścił przy stanowisku Madalińskiego i Kościuszki, lecz to, sądzimy, polega na jakiemś nieporozumieniu, bo p. Korzon, opowiadając swe „Przygody przy badaniu bitwy racławickiej“ w „Kurjerze warszawskim“ z 1-go kwietnia 1906, wyraźnie o nich powiada, z tem, że na jedną z nich wygramolił się pułkownik K. Górski.

Ale najważniejszym punktem jest sam atak kosynierów na redutę moskiewską, skąd i w jaki sposób kosynierzy natarli, że takie straty zadali nieprzyjacielowi, sami mimo ognia kartaczowego, opłaciwszy ledwo kilkunastu trupami śmiałą tę imprezę? P. Korzon przedstawia tę chwilę w ten sposób, że gdy Kościuszko, dowodzący centrem, zobaczył nadchodzącą kolumnę z prawej strony, jenerała Denisowa, zagrażającą Madalińskiemu, dowodzącemu właśnie prawem skrzydłem polskiem, rzucił się na czele 2 kompanii 3-go regimentu milicji krakowskiej, t. j. kosynierów i 2 kompanji 6-go regimentu, na gotującą się właśnie na niego do ataku środkową kolumnę nieprzyjacielską Tormasowa. To wszystko miało rozegrać się na polu pod Zamczyskiem.

Tymczasem p. Wawrzeniecki dowiedział się o istnieniu dziś już zaoranej mogiły, poza kapliczką wsi Janowiczki, po przed lasem, dzielącym Janowiczki od Dziemierzyc i na istnieniu jej buduje, jakoteż i na ustnych podaniach, wniosek, że właśnie tu, a nie pod Zamczyskiem nastąpił atak kosynierów, bo tam, gdzie p. Korzon podaje, niema żadnej mogiły, podczas gdy tu jest, a powtóre za tem świadczyłoby i to, że kosynierów w tym ataku ledwo 13. padło, a więc musieli być czemś okryci, w tem zaś miejscu takiem zakryciem właśnie była droga przez las, aż do miejsca, gdzie niewysoki brzeg od strony pola poza kapliczką w Janowiczkach dozwolił im wydostać się i od razu uderzyć na czoło lub bok kolumny Tormasowa i to z odległości kilku metrów zaledwie.

Całe to dowodzenie ma swoje dobre, ale też i słabsze strony, które zwłaszcza wywołane są zbytniem przykładaniem wagi do samego terenu, którego przecież powierzchnia po 100 latach przeszło rozlicznym musiała ulędz zmianom.

Bronisław Pawłowski.

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY. 7)

„Towarzyszka“ śmierci.

(Z CHWIL REWOLUCYJNYCH.)

(Dokończenie.)

Po chwili już pół rozkazujący, pół błagalny, młody, świeży głos brzmi w innym gabinecie, pyszne władcze oczy, pełne błyskawic i łez, wpatrują się w zwiędłą twarz męską.

— Panie doktorze...

I tak wszędzie, wszędzie, na każdej stacji, wobec każdego „wyjątkowego“ pociągu, aż do samego Charkowa. I wszyscy ci, na kogo patrzą te oczy, do kogo głos ten przemawia, myślą lub mówią pół żartem a pół serjo:

— Jeśli nie puścić tej szalonej, to albo „zasztyletuje“ prawdziwie po kaukazku (teraz to przecież rzecz codzienna!), albo się rzuci pod koła pociągu, do którego tak się gwałtownie wciska! Chwała Bogu, że nie tak trudno wpakować ją, jako zręczną siostrę miłosierdzia z wszelkiemi świadectwami — na wszelki wypadek!

Licho wie, co tam ci czerwoni sporządzą na drodze!

V.

Nie wie, czy ma uśmiechnąć się i podejść — czy zapłakać i cofnąć się z progu. Wymuszony ten uśmiech i powstrzymywane łzy mięszają się w jeden spazm męczeński na jej twarzy...

Czy to maligna?!... Czy owa jego „wesoła ironja“? Wyrazy buchają z tych ust, jaskrawszych, niż piana purpurowa, zwilżająca je chwilami, ze ślepą, wulkaniczną siłą.

Dwaj „towarzysze“ i jeden kolega uniwersytecki niczem ich wstrzymać nie mogą. Błagali, rozkazywali, udawali, że odchodzą, lecz poza drzwiami brzmiał nieustannie ten podniesiony, napięty, jak cięciwa łuku — nieszczęsny głos!

Nie ustał głos ten, gdy i ona stanęła w progu i nawet zawibrował jeszcze dźwięczniej, jeszcze przeraźliwiej — jak struna, bliska zerwania.

— Koledzy! ani kroku stąd, proszę was! Pobabrajcie się jeszcze cokolwieczek przy mnie... boć to już nie długo potrwa. Djagnoza moja nieomylna. Inni może prędko z koleji odwdzięczą się przy was za mnie... Nie dziwię się zresztą, że to już wam odjablałe i że radzibyście zostawić mię z nią „sam na sam“ na wieki! Nieprawdaż, że wcale nie źle wygląda „śmierć moja“, czyli raczej mój „piękny demon śmierci“, mówiąc językiem poetów? Jest w niej coś z tego anioła boleści, z ramionami na krzyż zarzuconemi, którego wymalował pewien słynny malarz (nazwiska nie pamiętam w tej chwili). Patrzcie! Te same oczy, jak zabójcze groty - błyskawice! i jak czarne łzy — perły żałości anielskiej!... Przyszła tu po to, by uśpić wijące się, jak ptak w przedśmiertelnych konwulsjach, serce moje, aby uśmiercić ból moich ran, rozżarzonych, jak węgle. Jest naprawdę dziwnie interesującą, ale zanim się nasycę jej widokiem przed swoim „salto mortale“ — mortale naprawdę, teraz jeszcze na krótko, na chwil kilka niech pozostanie trochę dalej odemnie... Pilnujcie, niech się nie zbliża! chcę jeszcze oddychać!... O wy! Straż honorowa moja przy resztkach życia i przy trumnie przyszłej! Niebawem wieńce, wieńce z krwistemi wstęgami sypną się na to łoże! „Borcu za swobodu“ *) — i zamiast złotolitego pokrycia — sztandar czerwony obwinie czarną trumnę!...

Chwiejna i trupio - blada postać kobieca, podobna w tej chwili naprawdę pięknemu strasznemu duchowi, z przerażonemi i przerażającemi źrenicami cofa się ku drzwiom gwałtownie, jak gnana zaklęciami zła moc nie z tego świata.

— Nie odchodź! Stój! stój!... To tylko komedja! Na kogo raz tak spojrzała, jak teraz na mnie, przy wejściu — ten się jej już nie wywinie... Znam to spojrzenie pożegnalne! Obdarzała niem hojnie ofiary „dalekiego wschodu“... Nie odchodź, słyszysz? Nie pozwalam! Muszę przecież skonać „wygodnie“ w twych miękich, litośnych objęciach... w cichem perłowem lśnieniu twoich łez krokodylich. Śmierć moja pragnie rzucić się w twoje rozkoszne ramiona! Lecz chciałbym zwlec jeszcze cokolwiek tę rozkosz ostatnią i pogawędzić z wami. Dosyć się tam nagnije w jamie, zanim się „kwiatkiem wykwitnie“ na mogile „pod brzózką płaczącą“, albo „ptaszyną - duszyczką“ uleci się „w niebios błękity“. Och... i to wtenczas, kiedy sztandar czerwony zastał już całą wolną Ruś naszą!

Nareszcie długa przerwa. Coś na kształt ci-

*) Bojownikowi wolności.

chego łkania wyrywa się z tej piersi zdeptanej i rozbitej. Czarny cień posuwa się nieznacznie bliżej ku pościeli, jakby wionięciem widmowem, lecz staje nagle w miejscu, wstrzymany niespodzianym, rozkazującym ruchem bladej, drżącej ręki i zarazem spracowanej już dłoni robotnika - wolontarjusza.

A potem znowu bardzo już ciche wyrazy, prawie szeptane do siebie, w głębokiej zadumie.

— Dlaczego Puszkin nie stał się dekabrystą? Jeśli nie serce, czemu genjusz jego, żądny wiecznej sławy, nie podpowiedział mu bohaterstwa? Teraz by stanął wpośród nich wszystkich najwyżej na pomniku, wieńcem swym wawrzynowym wieszcza przerastając ich głowy, prorok - męczennik wolności świętej, jak wielki genjusz polski, król nieśmiertelny duchowy ojczyzny swojej!... A tak... za karę klęczeć musi na wieki u stóp tyrana - Mikołaja!... Zastąpił by go niewątpiwie Lermontow wśród tych wybrańców, gdyby o lat dziesięć wcześniej się urodził...

Głowa w bandażach w kształcie średniowiecznego czepca lub kołpaku samojeda zaczyna miotać się na poduszce. Twarz kurczy się coraz boleśniej, coraz straszliwiej.

— Dajcie morfiny lub chloroformu! — woła głos gniewny, niecierpliwy. — Nikczemnie boli! Dajcie na koniec zdechnąć bez bolu, albo znieczulcie ból!

— Wytrzymaj trochę, mój drogi! — brzmi prosząca odpowiedź któregoś z tych trzech. — „Nie wolno nadużywać tego środka“... Za często dawaliśmy ci go dotąd...

— Bodaj was z waszą głupią troskliwością! Powtarzam, że na nic to się nie zda! A tu ten wilczy ból przeszywa mózg i serce!... Tortury!... Och tortury! Tamarze brakuje tchu, chwieje się, czepia się ściany dygocącemi dłońmi, aby utrzymać się na dygocących, złamanych, zda się, nogach. A ostra, jasna, przytomna pomimo to myśl podpowiada jej nielitościwie, że jest tu jednym z tych zdartych, skrwawionych, niepotrzebnych już szmatów, które ciśnięto przed chwilą opodal na podłogę i zamieniono świeżemi, czystemi. Te jakieś obce, nie drżące, silne dłonie chłodzą płonącą jego głowę, wlewają coś rzeźwiącego czy usypiającego do spiekłych ust. Kilka par młodych oczu wpatruje się ze stałym blaskiem współczucia i niepokoju w męczeńską twarz. Lecz żaden ruch, żaden wyraz nie zdradza w nich słabości, niedołęstwa. Ból i gniew cichną stopniowo w jego rysach drgających i łamiącym się głosie.

Szklany flakonik „ze zbawczym środkiem“ wraca na stolik przy łóżku, odprowadzony błyszczącem, chciwem spojrzeniem tych oczu przy ścianie, „djablo nieprzyjemnych“, jak myślą w duchu obecni.

Usypia... ucisza się... I wszystkim ciszej robi się na sercu. Przez chwilę stoją jeszcze milczący, skupieni, w tej samej pozycji. Potem kolega uniwersytecki i jeden z towarzyszy wychodzą cicho na palcach z pokoju, dyskretnie unikając spojrzenia w stronę postaci, wciąż jeszcze tulącej się do ściany.

Pozostały robotnik zbliża się do niej ostrożnie.

Przypomina się jej. Był w owej delegacji „z nim“ razem... Znali się tam przecież z nią bardzo dobrze, tak dużo nieraz rozmawiali. Tylko teraz „czemuś“ go nie poznała.

Bierze ją za rękę, prowadzi, sadza na fotelu. Po „wypadku“ wniesiono go wprost z ulicy do mieszkania lekarza i dotychczas tu leży. Doktor wkrótce powróci z miasta, ze szpitala... Byli razem na barykadach, ale nie przy nich padł pod ciosami. Dopiero na trzeci dzień potem, z ręki czarnego siepacza, w mroku wąskiej uliczki... jak tylu już, tylu... codziennie. Padł, nic nie wiedząc jeszcze o mordach masowych czarnej seciny, o pogromach żydowskich, o Tomsku i Odessie... I jeśli się obudzi, oprzytomnieje i będzie z nią rozmawiał, niech mu oszczędzi goryczy rozczarowania, niech pozostawi mu iluzję już osiągniętej „nowonarodzonej swobody, która ma wzrastać potężnie, mężnieć, i szerzyć się z dniem każdym“.

Ona dziękuje za wszystkie te „informacje“ z dziwnie „uprzejmą“ sztywnością. Przyjmuje pozę „wygodnie spoczywającej w fotelu“, przymyka oczy i znowu „ślicznie dziękuje“ za propozycję odpocząć po drodze i wzruszeniu w sąsiednim pokoju na kanapie.

Młody doktor - gospodarz należy do „naszych“, bardzo dobry człowiek. Rad będzie...

— Dziękuję, dziękuję. Tymczasem tu trochę spocznę. Na razie nie chce mi się ruszyć z miejsca...

„Towarzysz“ patrzy na nią z coraz większem zdziwieniem, nareszcie daje pokój. Krząta się cicho po pokoju, wynosi krwawe bandaże, misę z wodą zabarwioną za drzwi.

— Ta doza wystarczy mu na kilka godzin snu — odzywa się raz jeszcze. — Ma pani czas wypocząć.

— Tem lepiej — brzmi mniej już sztywna, a nawet dość żywa odpowiedź. — Wyręczę was choć teraz, panowie. Macie pewno dużo spraw do załatwienia.

— Do widzenia — w takim razie za godzin trzy się zjawimy.

Drzwi się zamykają za robotnikiem, a wtenczas ona, jak czarny kruk, spada nagle na szklaną błyskotkę, lśniącą na stole. Zaciska ją mocno w dłoni i znowu się pokłada na fotelu, znowu przymyka oczy.

Przez chwilę tylko skupić się musi... zdać sobie sprawę ze wszystkiego.

Jakaż to znowu nagła moc i energja myśli! Jaka nieodwołalność decyzji!...

Powzięła ją przed chwilą, gdy jednocześnie i razem z „nim“ uczuła nagły, okropny strach do siebie samej! do złej, nadprzyrodzonej mocy, zaklętej w jej istotę!

Wprawdzie on miał już chory, rozpłomieniony gorączką mózg i chorą, rozpłomienioną myśl przedśmiertną... Ona zaś nie! O nie! Tak przytomnie, świadomie dążyła tutaj, „chytrze i sprytnie“ obalając wszystkie przeszkody... Ona przytomna i myśl jej zdrową być musi. A jednak nagle wraz z nim uczuła ten strach przed sobą... przed nosicielką śmierci... przed demonem zabójczym! Ten strach mistyczny, który zdradza istnienie rodzącej go mocy. Śmierć idzie wszędy na jej spotkanie i wszędy pociąga ją ku sobie! I ona idzie, rwie się, zwalcza nadnaturalne przeszkody wszędzie, gdzie czuje śmierć.

A więc i teraz przywiódł ją tu głos śmierci. Jego śmierci! „Chce rzucić się w jej miękkie, litosne objęcia, rozpłynąć się w perłowem lśnieniu krokodylich jej łez“! A on... najdroższy tak pragnie życia, tak boi się mogiły! Teraz „gdy sztandar czerwony zastał całą już wolną Ruś“!... Więc ona przedtem się rzuci w objęcia własnego zgonu, — duch jej — przeklęty naprawdę demon śmierci, odejdzie w cie mną dal, lub nagle zgaśnie wraz z przeklętem ciałem w błocie ziemi na zawsze, niepowrotnie!

Źrenice pełne już cichej mocy i cichych łez po raz ostatni wpatrują się w twarz, marzącą, zda się, w błogiem skupieniu, bladą, jak chusta wśród białych chust. Potem szklana błyskotka miga w jej dłoni, miga przy głowie, odrzuconej w tył, naręszcie w rozchylonych jej ustach...

Chwila ciszy... Brzęk szkła...

* * *

Trzepoce się i szumi gęsty las krwistych chorągwi i wieńców z krwistemi wstęgi po nad dwiema trumnami, przykrytemi wielkim wspólnym czerwonym sztandarem. Pochód, niby rzeka wzburzonej krwi, zalewa ulice i place miasta, wciąż rosnąc groźniej i burzliwiej, jak wzmagająca się nawałnica. Ogromne, ponure, gorejące tłumy zawodzą hymn pogrzebowy bojowników wolności:

„Wy żertwoju pali w borbie rokowoj *)
Lubwi bezzawietnoj k narodu.
Wy otdali wsio czto mogli za niewo
I żeźń swoju, czest' i swobodu!

*) Padliście w walce krwawą ofiarą i t. d.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Chrzanowski Ignacy: Marcin Bielski. Studjum literackie. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1906. 8-vo, s. 8 nl. + 280.

Autor miał do spełnienia wdzięczne zadanie, o życiu bowiem Bielskiego, zwłaszcza zaś o pismach jego mamy mało rozpraw w naszej literaturze.

Monografję swą oparł p. C. na sumiennych studjach, zestawiwszy dokładnie wszystkie znane szczegóły o życiu Bielskiego w rozdziale pierwszym, w następnych zaś sześciu rozdziałach podał gruntowny rozbiór pism Bielskiego, jakoto: Żywotów filozofów, Kroniki świata, Kroniki polskiej, Komedji Justyna i Konstancji, Satyr i Sprawy rycerskiej. Przy każdem z tych dzieł bada autor szegółowo ich genezę, wykazuje stosunek do literatury zagranicznej i naszej, charakteryzuje w końcu ich znaczenie; pomieścił w tych rozdziałach autor niezmiernie wiele ciekawych szczegółów, do których doszedł na podstawie gruntownej znajomości literatury przedmiotu. W „Żywotach filozofów“ wykazuje zależność Bielskiego od pisarza czeskiego Konacza, w „Kronice świata“ stosunek do rozmaitych źródeł obcych, w Kronice polskiej stosunek do Kroniki Miechowity, Decjusza i Wapowskiego, tak samo i przy innych pismach. W rozdziale ósmym skreślił charakterystykę Bielskiego jako człowieka i pisarza, w ostatnim zestawił sądy współczesnych i potomnych o nim. Mimo wielkiego umiłowania przedmiotu, zachował autor w sądach swoich odpowiednią miarę, nigdzie znaczenia Bielskiego nie przecenił, ocenił go zupełnie słusznie określając jego stanowisko w literaturze naszej stosownie do jego zasług. Nie położył Bielski tak ogromnych zasług około rozwoju literatury polskiej, jak Rej, zdobył mimo to piękne imię w jej dziejach „jako ten, który jeszcze od swoich młodych lat pisał wszem polskie rzeczy rad, który jeżeli nie pierwszy, to w każdym razie jeden z pierwszych drogę impresorom podał polskie pisma imprymować, jako autor pierwszej w Polsce historji powszechnej, jako rozumny nauczyciel społeczeństwa, nawołujący je do nauki i wreszcie jako jeden z prawych synów Ojczyzny, nawołujący do samopomocy, do obrony przed „omylnemi zaburzeniami świata tego“ (s. 269.) Monografja p. Ch. opracowana sumiennie i wyczerpująco, może posłużyć za wzór źródłowych opracowań.

Dr. Wiktor Hahn.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.